
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Stanisław Jagiełłowicz – *Prawie siedem lat na zesłaniu*

1. Żegowicze

Protopląści rodu Jagiełłowiczów na terenach obecnej Litwy zamieszkali około XVII w. Ziemie rodzinnego majątku znajdowały się w miejscowości Żegowicze. Była to wieś składająca się z ponad 200 gospodarstw i leżała w odległości około siedmiu km na północ w linii prostej od miasteczka Wandzogała (Vandzogała – lit.) i około 35 km od Kowna.

Moja najbliższa rodzina – babcia, dwaj stryjowie oraz rodzice mieszkali razem w nowo wybudowanym, obszernym domu. Byłem najstarszy z rodzeństwa, urodziłem się w 1935 r., brat Lubomir urodził się 2 lata później, a siostra w 1941 r. Swoje dzieciństwo wspominam jako beztroskie, rodzice byli zgodną, kochającą się parą, a wielopokoleniowa rodzina, jakich wiele było w naszych polskich domach, zapewniała staranne wychowanie. Po śmierci dziadka na czele rodu stała babcia. Jako dzieci uwielbialiśmy stryja Waleriana. Był to człowiek odczytany, o szerokich horyzontach wiedzy, wyrozumiały i cierpliwy, bardzo kochał dzieci. Wymyślał różne zabawy i zajęcia, potrafił nas słuchać i zawsze miał dla nas czas. Pewnego dnia przyłapał mnie i kilku moich kolegów na paleniu papierosów w stodole. Nie krzyczał na nas, nie poskarżył do rodziców, ale bardzo długo tłumaczył, i to nie o bezsensie palenia w tak młodym wieku,

ale wyjaśniał bezrozumność palenia w miejscu, które mogło obrócić w zgliszczą dobytek naszej rodziny. Długo nam wyjaśniał zagrożenie pożarem, a my z głowami zwieszonymi staliśmy zawstyżeni i najchętniej przyrzekliśmy rezygnację z palenia w ogóle, oby tylko przestał mówić. Ojciec był bardziej wymagający, czuliśmy przed nim respekt, a jak pokrzykiwał „no żuki”, to wiedzieliśmy, że coś mu się nie podoba, czyli nie będzie zabawy. Mama zaś była bardzo kochającą, troskliwą i anielsko opiekuńczą kobietą. Miała cudowny dar pośredniczenia na linii dziecięce zachcianki, a stanowczość ojca.



Świadectwo nadania ziemi

W 1942 r. po zajęciu przez Niemców ziem leżących w okolicach Wilna i Kowna, nasz dom i całe gospodarstwo stało się własnością jednego z osadników przybyłych z terenów Rzeszy. Musieliśmy zostawić wszystko, co znajdowało się w domu, mogliśmy zabrać ze sobą tylko około 15 kg tego, co uznamy za potrzebne. Cały sprzęt i zwierzęta znajdujące się w gospodarstwie zostały przejęte. Naszym losem nikt się nie przejmował, mieliśmy opuścić gospodarstwo. Stryjowie byli kawalerami, łatwiej im było znaleźć jakieś mieszkanie, babcię przygarnęła rodzina. A moi rodzice nie mieli gdzie się podziać z małymi dziećmi. W zamian za pracę w gospodarstwie Niemiec zgodził się, aby ojciec z rodziną zamieszkał w odległym od zabudowań, opuszczonym domku w lesie, który należał do naszego majątku. Dodatkowo pozwolił tylko na dojenie krowy, dzięki której mamie łatwiej było nas wyżywić.

Do szkoły poszedłem mając dziewięć lat, ponieważ w okresie okupacji niemieckiej o jakimkolwiek nauczaniu nie było mowy. Po zajęciu Litwy przez bolszewików zorganizowano czteroklasową szkołę początkową, którą w latach 1944-1948 ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym. Była to szkoła z językiem litewskim. Dla nas, polskich dzieci początki były trudne, musieliśmy uczyć się obcego języka od podstaw. Do czasu szkolnej edukacji wyrastaliśmy w otoczeniu ludzi posługujących się językiem polskim, bo wszyscy mieszkańcy Żegowicz i okolicznych osad rozmawiali między sobą po polsku. Także w czasie nabożeństw w kościele śpiewano po polsku. Starania Litwinów sprawiły, że nasz język został wyrugowany z Kościoła za sprawą księży. Po polskim duchownym, przybył do parafii ksiądz biegle mówiący po polsku i po litewsku, ale kolejny mówił już tylko po litewsku. I tak stopniowo nasz język narodowy pozostał tylko w polskich rodzinach. Moja babcia i mama były kobietami niepiśmiennymi. W tamtych czasach uważano, że kobiecie nauka szkolna jest nieprzydatna do niczego. Takie panowały zwyczaje, więc o jakiegokolwiek edukacji nawet nie marzyły. Wszelkie urzędowe sprawy załatwiali mężczyźni. Dziadek uczył synów prywatnie. W domu, przez parę lat mieszkała guwernantka.

Tuż przed wkroczeniem Rosjan, jesienią 1944 r. niemiecki przesiedleńca opuścił nasze zabudowania i Żegowicze. Wyjeżdżając zabrał ze sobą nie tylko wyposażenie mieszkania i gospodarstwa ale także wszystkie zwierzęta. Nie pomogły prośby ojca, aby chociaż małego źrebaczka zostawił. Dom uniknął spalenia, ale zastaliśmy w nim „gołe ściany”. Po powrocie rodziny, stryjowie z babcią zajęli jedną część domu, moi rodzice drugą. Ziemie i zabudowania zostały sprawiedliwie podzielone i każda z rodzin gospodarowała na swoim. W naszej karcie repatriacyjnej zapisano, że gospodarstwo ojca obejmowało 27 ha na które składały się łąki, las i około 9 ha gruntów ornych.

Prowadząc gospodarstwo rodzice byli przekonani, że nic złego im nie grozi. Mimo że posiadali kartę ewakuacyjną na osiedlenie się w poznańskim, nie chcieli przeprowadzać się w nieznane. Przywiązanie do ziemi przodków i mogiły bliskich stanowiły w mentalności rodziny i Polaków poczucie przynależności do zajmowanych od wieków ziem. Jeśli ktoś miał rodzinę w Polsce to nie było problemu z wyjazdem, ale nasz ojciec od czasu wybuchu II wojny światowej nie miał kontaktu ze swoim bratem i siostrą, którzy jak się później okazało mieszkali w Polsce, brat w Płocku a siostra w Zielonce. Wkrótce, szepciem przekazywane, zaczęły pojawiać się informacje o deportacjach Polaków. Z naszych okolic, pierwszy transport ludności polskiej w nieznanym kierunku miał miejsce w 1948 r. Wywieziono rodziny z około 50 gospodarstw, czyli

¼ mieszkańców Żegowicz. Okazało się, że zostali wywiezieni nad Jenisej, najpierw do Krasnojarska, a później barkami do miejscowości Igarki, ponad 150 km za koło podbiegunowe. Wraz z przesiedlonymi rosyjskimi chłopami pracowali przy układaniu torów, część w kopalni węgla. Z pojedynczych, dochodzących listów, wyłaniał się ich iście łagrowy byt. Z tego co wiem, nikt z tamtego transportu do Polski nie wrócił.

Ze wspomnień rodziców wynikało, że nie znaleźliśmy się na pierwszej liście osób przeznaczonych do wysiedlenia dzięki przyjacielowi stryja Waleriana. Sobie znanym tylko sposobem ochronił nas przedwojenny komunista, ideowiec – kowal Brodowski. Teraz po latach wydaje mi się, że przymusowe wywózki Polaków miały związek z kolektywizacją. Komuniści po włączeniu krajów nadbałtyckich w skład ZSRR rozpoczęli przekształcanie indywidualnych gospodarstw w spółdzielnie, organizowali kolchozy, ale polscy właściciele nie chcieli przyjąć tego do wiadomości. Dodatkowo byli w stosunku do agitatorów wrogo nastawieni. Zaczęło funkcjonować określenie – *akajannyj Polak*, czyli Polak, który nie chce kolektywizacji, czyli jest wrogo nastawiony do systemu radzieckiego. A może była inna przyczyna? Przecież również stosunki polsko-litewskie nie należały do przyjacielskich.

Pierwsze wysiedlenia nie zastraszyły Polaków, w dalszym ciągu do spółdzielni nikt nie chciał należeć. Nocą 25 marca 1949 r. mama obudziła nas mówiąc, „wstawajcie dzieci, nie bójcie się, przyszli wywozić”. Całej rodzinie kazano się spakować, zabrać żywność, ciepłe ubrania i opuścić dom. Tata zabrał ze strychu wędlinę, pieczywo, mąkę i zapakował w lniane worki. Mama wzięła wyszywane przez siebie serwety, ręczniki, obrusy, lniane nici. Zachęcał ją do tego i pomagał w pakowaniu nadzorujący żołnierz rosyjski mówiąc: „bierz będziesz mogła wymienić to na chleb, bierz nikt ci tego ważyć nie będzie, tam się tobie przyda”. Z dokumentów ojciec zdołał zabrać tylko świadectwa urodzeń, chrztów i kartę ewakuacyjną przeznaczoną do wyjazdu do Polski w 1946 r. Ta karta, wydana przez Konsulat Polski na Litwie na osiedlenie się w Polsce uporem ojca uratowana, umożliwiła nam w późniejszym czasie powrót do Polski. Ja pamiętałem o swoim świadectwie ukończenia szkoły. Oprócz jedzenia należało wziąć ze sobą tylko to, co najpilniejsze, ciepłe odzienie, pościel i co zmieści się na wóz. Pakowanie naszego dobytku trwało około godziny. Babcia, stryj Władysław z żoną i dwójką dzieci, stryj Walerian, mój ojciec Franciszek z żoną i 3 dziećmi oraz 4 żołnierzy uzbrojonych w pepesze zasiadło w wozie drabiniastym. Woźnicą był enkawudzista. Nasze konie ruszyły i rozpoczęła się tułaczka w nieznaną.

2. Podróż

Przewieźli nas na dworzec w miejscowości Żejmy, w niej znajdowała się stacja kolejowa. Cały dobytek przenieśliśmy do wagonu towarowego. Nie było w nim żadnych pryczy ani wydzielonych części. Każdy z nas zajmował wolną przestrzeń i tam składał swoje podróżne bagaże. W wagonie, w którym przyszło nam podróżować przebywały 52 osoby, dorośli i dzieci. Nie było wśród nich nikogo z naszych znajomych Polaków. Ale byli to sami Polacy, nie było Litwinów, Rosjan. Wagon szczelnie zamknięty, przez pierwszą dobę stał na bocznicach. Wyruszyliśmy następnego dnia. Na potrzeby fizjologiczne służyło nam wiadro opróżniane raz na dobę w czasie wychodzenia po wodę. Nikt z nas nie wiedział gdzie i dlaczego nas wywożą. Pilnujący nas Rosjanie mówili tylko,

że wyjeżdżamy na *wsiegda*. W trakcie podróży pocieszałyśmy się, że wiozą nas tam, gdzie brak jest siły roboczej lub, że jedziemy do kołchozów na Ukrainę. Bardziej pesymistycznie nastawieni mówili, że będzie to raczej Sybir. Wagon, w którym przyszło nam przebywać w trakcie transportu w nieznaną, przez cały czas był zamknięty od zewnątrz, a nadzorujący nas Rosjanie raz dziennie sprawdzali listę obecności. W ciągu doby pociąg zatrzymywał się na chwilę, brano trzech lub czterech mężczyzn i ich zadaniem było przynieść w wiaderku gorącą wodę, która służyła nam do sporządzania posiłków, bo prowiant mieliśmy swój. Brakowało jedynie chleba. Nie znam przypadku, aby ktoś w wagonie był głodny. Z opowieści mężczyzn chodzących po wodę wynikało, że zdarzali się śmiałkowie, którzy próbowali uciekać z transportu. Lecz zawsze takie ucieczki kończyły się śmiercią uciekiniera. Jeszcze w europejskiej części Związku Radzieckiego, w okolicach miasta Ufa, przed Uralem, dowiedzieliśmy się gdzie jesteśmy i że jedziemy dalej na wschód. Od Omska zaczęto dawać przydział chleba, po bochenku na rodzinę. Babcia, jej dzieci i wnuki stanowiły jedną rodzinę, dlatego chleb najczęściej jedliśmy my – dzieci, bo dla dorosłych brakowało. Im dłużej trwała podróż, tym trudniej było opanować ogólny pesymizm. Mężowie pocieszali swoje żony i dzieci, że niedługo się to wszystko skończy, że będzie dobrze. Dorośli zdawali sobie sprawę, do czego zdolni są bolszewicy. Gromadki rodzinne przytulone do siebie, siedzące na swoich tobołkach cały czas popłakiwały. My też przytuleni do mamy, czekaliśmy na swoje przeznaczenie. Płakała mama, płakaliśmy i my.

W wagonie panował półmrok, bardzo często słychać było szloch. Czasem wołanie na pomoc Boga. Środek do przewozu towarów przeciążony nadmiarem ludzkiej rozpacz, trwogi, niepokoju, spowity paraliżującym strachem, monotonnie postukując pędził na wschód. Mniej więcej po dwóch tygodniach jazdy, gdy zabrakło łoż, pogodzeni z losem towarzysze niedoli zaczęli opowiadać o swoich przeżyciach, wspomnieniach. Po 24 dniach pociąg stanął w Irkucku, stolicy Wschodniej Syberii, mieście znanym tysiącom polskich zesłańców skazanych na katorgę, dożywotnie osiedlenie lub służbę wojskową. To dla nich w Irkucku znajdowało się etapowe więzienie, ale na nas czekały ciężarówka. Po wyczytaniu nazwisk przenosiliśmy na nie to, co nam zostało. Po około dziesięciu godzinach przemieściliśmy się na odległość ponad 300 km. Prędkość, z jaką poruszaliśmy się w kierunku północno – zachodnim nie była zawrotna, ale i wytyczonych, utwardzonych dróg było niewiele. Na miejsce docelowe przybyliśmy późnym wieczorem. Kazano nam się wprowadzić do domu, pod który nas przywieźli. Był to jednoizbowy, drewniany dom. Zastaliśmy w nim cztery ściany, zamiast łóżek – prycze tzw. nary, a na środku stał okazały piec. Nie pamiętam czy na wyposażeniu domu były naczynia. Nie było klepiska tylko drewniana podłoga z beli a pod ścianą stał solidny stół i zydel. Tak zapamiętałem swoje pierwsze lokum na Syberii. W dzień okazało się, że szpary wypełnione mchem i porostami stanowiły wspaniałe siedlisko dla pluskiew, a komin pieca oblepiony był prusakami. Jak tylko pluskwy wyczuły lokatorów od razu pierwszej nocy ruszyły do boju zaspokajając głód. Słychać było jak spadają, były jak zaraza, tak trudne do wyplenienia.

3. Chotogor

I tak staliśmy się przymusowymi mieszkańcami Chotogoru, kołchozu, w którym mieszkaliśmy i pracowaliśmy przez pół roku. Pierwszy dzień pobytu

wypełniony był wizytami urzędników cywilnych i mundurowych. Na początku dane nasze spisywała administracja państwowa, po niej kołchozowa. Cały czas musieliśmy odpowiadać na szczegółowe pytania. Nie dano nam żadnych dokumentów natomiast poinformowano, że bez zezwolenia nie możemy opuszczać kołchozu, gdyż każde oddalenie traktowane będzie jako ucieczka, za co grozi zsyłka na Kołymę. Słowo Kołyma budziło grozę wśród głównej grupy etnicznej Chotogoru, czyli Buriatów, ponieważ bardzo duża grupa bogatych Buriatów zginęła na Kołymie.

Osada składała się z około 50 domów, każda rodzina posiadała własny dom, do którego przynależał dość obszerny ogród. Oprócz Buriatów mieszkała Rosjanka z córką, Cyganka z synem i córką i siedemnastu przesiedleńców. Za wyjątkiem rodzeństwa litewskiego wszyscy przesiedleńcy mówili po polsku. Kto jakiej był narodowości nie chwalił się, a miejscowi uważali nas za Litwinów. Buriaci, szczególnie starsi byli bardzo przyjaźnie do nas nastawieni, ale oficjalnie tego nie okazywali, bali się młodych. Wiadomo, u komsomolców uchodziliśmy za wrogów ludu pracującego. Z Rosjankami nie zaprzyjaźniliśmy się, natomiast rodzina Cyganów nie kryła przyjaźni i życzliwości. Przez pewien czas po przyjeździe mieliśmy jeszcze trochę tłuszczu i wędlin z domu, mogliśmy więc te trudne dni aklimatyzacji przeżyć. Po skończeniu zapasów pojawiły się problemy, ale wtedy mogliśmy liczyć na życzliwą pomoc Buriatów. Gdy worki z żywnością świeciły pustkami, mama wymieniała swoje rękodzieła na nabiał; mleko, śmietanę, twaróg. I to wtedy mama przywołując z pamięci obraz żołnierza, który w Żegowiczach tak usilnie pomagał jej pakować do worka ręcznie haftowane serwety i serwetki głośno dziękowała słowami: „daj mu Boże zdrowia”! Tamten Rosjanin tylko w jednym nie miał racji, nie wymienialiśmy naszych dóbr na chleb, bo sami Buriaci chleba nie mieli. Ale jego namiastką były lepiożki. Przygotowywano je z grubo mielonego w żarnach zboża i wody. Płaskie, niewielkie placki kładło się na gorącą płytę kuchenną i po upieczeniu zjadało. Smaczne, życiodajne szczególnie z *czajem*.

Mieszkająca w kołchozie 3 osobowa rodzina Cyganów, to pokolenie carskich zesłańców. Poznałem Siergieja, kiedy odprowadzałem do stada, którym się zajmował, wycieńczonego pracą konia. W zamian wydał mi konia wypoczętego, dobrze przygotowanego do ciężkiej pracy. Kochał zwierzęta, a do koni miał dobrą rękę. Konia, którego przyjmował, po roku trudno było poznać, tak dobrze wyglądał. Siergiej także nam pomagał, nie tylko udzielał rad, ale zaopatrywał w zboże, które można było zmielić u sąsiadki Buriatki. Z tak przetartej mąki piekliśmy lepiożki. Nauczył nas wykorzystywać roślinność z tajgi, dzięki niemu potrafiliśmy rozpoznawać dziko rosnący na łące szczypior cebuli i czosnku, jagody, czeremchę. Pouczał mnie; „żuj szczypior czosnku, bo zęby wyplujesz”. Człowiek z anielską duszą.

Otrzymaliśmy przydział do pracy w rolnictwie. Ojciec i jego bracia do orki i innych prac polowych, ja do pozostałych prac, czyli prac przy sianokosach, bronowaniu, a mój brat zajmował się cielaczkami. Mama pracowała jako dojarka. Była połowa kwietnia, w przyrodzie zastój, zimno, śnieg. Nagle, po nocy z dachu zaczęły kapać krople wody ze zwisających sopli, wkrótce zniknął śnieg, ziemia odtajała i za dwa tygodnie nadeszła wiosna, a z nią czas prac polowych. Ziemia była tak żyzna, chłonna, że tylko zaprzęgać konie, orać, bronować i zasiewać pola. Siano głównie pszenicę i jęczmień. Wkrótce zaczęły się sianokosy. Trawę bujną, soczystą, wysoką za kolana koszone konnymi ko-

siarkami. Pozostałe prace polegające na formowaniu kopek, a następnie stogów wysokich na trzy metry wykonywało się ręcznie. Układanie stogów wymagało dużych umiejętności i kunsztu, należało je tak układać i formować, aby wiejące wiatry ich nie zniszczyły. W okolicach Bajkału przeważają wiatry zachodnie i północno-zachodnie. Niektóre z nich, w zależności od miejsca powstania mogą osiągać tak duże prędkości, że wyrządzają duże szkody.

W Chotogorze hodowano krowy, konie, owce i kozy. Kozy były własnością kolchoźników. Konie wykorzystywane były głównie jako siła pociągowa a później przeznaczane były na rzeź. Mięso końskie było podstawą żywienia u Buriatów. Przed żniwami dostałem nowe zajęcie, do moich obowiązków należało przywożenie z rzeki wody, zostałem więc wozowodą. Niecodzienne w tym zajęciu było to, że wóz z beczką ciągnął nie koń, ale olbrzymi wół. Wspominam go z ogromnym sentymentem. Było to mądre, olbrzymie zwierzę, poziomy rozstaw jego rogów był bardzo duży, około metra. Należało bardzo ostrożnie koło niego chodzić gdyż jedno odchylenie łba mogło przebić ciało człowieka bez większych przeszkód. Czarno białe zwierzę, przez krótki okres czasu było moim wspianiałym przyjacielem. Byłem z tego faktu bardzo dumny, gdyż z końmi nigdy nie potrafiłem nawiązać tak silnej więzi. Wólek mnie zaakceptował, był posłuszny, pozwalał założyć na siebie uprząż i wprzęgać do wozu. Ta nasza współpraca nie byłaby możliwa bez pewnych sekretów, które zdradził mi jego poprzednik – skośnooki Buriat. Przecież gdybym do niego mówił po polsku, litewsku lub rosyjsku to nic bym nie wskórał. Jego praca była bardzo ciężka. Źródło, z którego brano wodę znajdowało się daleko poza kolchozem, w dolinie. Z kolchozu wyjeżdżaliśmy rano, przez dobre pół dnia nosiłem wiadrami wodę do beczki i wchodząc po drabinie nalewałem około 1000 litrów, kończyła się moja praca i wtedy zaczynała się ciężka praca dla mojego woła. Wóz z wodą trzeba było zaciągnąć do kolchozu pokonując strome i wysokie wzniesienie. Pod naporem ciężaru i stromizny nie raz zwierzę upadało. Wynagradzałem jemu te trudy pozwalając na popas; gdy napełniałem beczkę, kiedy osiągnęliśmy szczyt i po dotarciu do kolchozu. Przez cały okres pobytu na Syberii nie uczestniczyliśmy w katolickich praktykach religijnych. Ale Buriaci jeszcze mogli praktykować szamanizm. Jadąc po wodę mijaliśmy po lewej stronie miejsce zwane świętą górą, na której szaman odprawiał modły. Nie składałem duchom ofiary, bo i z czego, ale może moje westchnienia i rozmyślenia spowodowały, że czas, kiedy byłem wozowodą był dla mnie czasem bezpiecznym i nic złego się nie stało?

W okresie pobytu w Chotogorze dwukrotnie mogłem obserwować obrzędy szamańskie; po zakończeniu sianokosów i po zbiorach jesiennych. Uczestniczyli w nich sami mężczyźni, kobiety nie wychodziły w ogóle z domów, aż do momentu, kiedy pochód oddalił się na świętą górę. Święto wiązało się ze złożeniem ofiary z barana, który później w całości był konsumowany, a za napój alkoholowy służył tarasun, czyli samogon powstający z fermentującego mleka krowiego. Mleko, które nie było wykorzystane w gospodarstwie zlewane było do około 200 litrowej drewnianej beczki. Tam przez kilka miesięcy kisło i fermentowało. Po zapełnieniu beczki, jej zawartość wylewało się do żeliwnego kociołka, podłączało do drewnianych przewodów destylacyjnych i po podgrzaniu uzyskiwało się około 8% alkohol. Po zakończeniu modłów szaman dzielił tzw. sałamat – potrawę przyrządzaną z gotowanej na słabym

ogniu śmietanie i kukurydzianej mąki. Obrzęd kończył się złożeniem drobnej ofiary, najczęściej były to drobne monety, papierosy. Finałem świątecznego, wolnego od pracy dnia była zabawa, w której już mogły uczestniczyć kobiety.

Piękno otaczającej nas przyrody troszeczkę rekompensowało nam tęsknotę za tym, co utraciliśmy. Po ustąpieniu śniegów roślinność trawiasta i zielna bardzo szybko kolorowymi kobiercami pokrywała połacie ziemi. W tym bardzo krótkim okresie wiosny stepy przypominały wielobarwną paletę malarza. Niebieskawe goryczki, czerwone maki, srebrzyste szarotki, żółte miłki i wielobarwne goździki tworzyły na tle zielonej, kępkami rosnącej soczystej trawy, widoki pozwalające nie poddawać się pesymizmowi i zgorzknieniu. W takich chwilach nadchodziła nadzieja, że los jakoś dla nas będzie łaskawy, że sobie jako rodzina poradzimy, że wrócimy w rodzinne strony. W czerwcu roślinność zaczynała zamierać, a palące latem słońce i niewielka ilość opadów przekształcały stepową zieleń w beżowe i brązowe suchorośla. Wszechobecne, ciekawskie i bardzo szybkie susły ryjące, co krok norki i tysiące skaczących, latających i głośnych owadów dopełniały piękna krajobrazu. Zamorą naszą były natomiast baki, komary i przeklęte meszki. Wśród tych cudownych darów natury rósł dziko tytoń. Nie miał on żadnej wartości odżywczej, ale był ogromnie popularny, palili go wszyscy i młodzi i dorośli, kobiety i mężczyźni. Wysuszony i rozdrobniony palono w fajkach. Niektóre z nich to były prawdziwe cudowniki. Pamiętam jeszcze jeden rarytas, w wiekowych modrzewiach przy sękach gromadziła się twarda żywica – siera. Żuliśmy ją jak gumę, pozwalała nam utrzymać higienę jamy ustnej.

Chcę podkreślić, że życzliwe dla nas było starsze pokolenie Buriatów, czego nie można powiedzieć o młodych komsomolcach. Ci nie szczędzili nam epitetów, odczuwaliśmy ich pogardę. Rosjan w Chatagorze nie było. Ze wszystkimi zesłańcami łączyła nas jedność i przyjacielskie stosunki, rozmawialiśmy między sobą po polsku, za wyjątkiem rodzeństwa litewskiego. Brat bardzo miłej Litwinki, nasączony komunistycznymi ideami, bardzo chciał się przypodobać strażnikom i kołchozowym władzom. Wymyślił, że stryj Walerian, matka z synem i samotna kobieta planują zbiorową ucieczkę z Chotogoru i usłuźnie o tym doniósł do komendantury NKWD. Wskazane osoby zabrano z pracy i kołchozową ciężarówką zawieziono do Irkucka, dalej samolotem ponad dwa tysiące km do pasiołka Mama znajdującego się nad rzeką Mama wpadającą do Witimu i wypuszczono ze słowami: „teraz możecie uciekać”. Po pół roku przyszedł, oczywiście ocenzone list, w którym stryj donosił, że pracuje w porcie przeładunkowym. Po przybyciu, kierownik portowy dał mu tydzień czasu na urządzenie się, bo zakwaterowania nie było. Musiał wybudować sobie barak do zamieszkania. Pomogli mu w tym Czeczeni. Byli to zesłańcy o niespotykanej solidarności, życzliwości, stanowili 90% wszystkich mieszkańców pasiołka. W nowym miejscu nikt go nie pilnował, bo możliwości ucieczki nie było żadnych, lasy, woda, góry, dzikie zwierzęta. Na tym wygnaniu przebywał do 1954 r., dopiero, gdy była akcja łączenia rodzin udało się stryjowi przyjechać do Bajandaju.

4. Stary Chogot

Nasz pobyt w Chotogorze nie trwał długo, w listopadzie 1949 r. kazano się spakować i przewieziono nas około 30 km dalej na południowy zachód, do innego kołchozu, do Starego Chogotu. Zamieszkaliśmy w ładnym, drewnia-

nym, jednoizbowym domu z modrzewia. Przesiedlono tylko naszą rodzinę, co się z innymi mieszkańcami Chotogoru stało, nie wiem, bo żadne wiadomości nie dochodziły. Tutaj dopiero zaznaliśmy prawdziwej biedy. Była zima, wody ze śniegu co prawda było pod dostatkiem, ale przymieraliśmy głodem, bo naprawdę nie było co jeść. Gotowało się jakąś zupę z liścia kapusty lub żuło korę, jakieś słomki, patyczki, trawki. Naszą nędzę potęgował brak ciepłej odzieży, nie mieliśmy zimowych butów. Aby ocalić nogi przed odmrożeniem, obwijaliśmy je gazetą, na to szła jakaś szmata, druga gazeta i mokra szmata. Tak owinięte nogi były ciepłe, bo mokry materiał zamarzał i tworzył izolację. W tych butach – szmatach chodziliśmy do pracy w kolchozie. Za pracę otrzymywaliśmy miskę zupy i kawałek około 100 gramowy chleba. W styczniu ojciec wystarał się o przyjęcie nas do szkoły. Było to dla nas lepsze rozwiązanie niż praca za taki sam posiłek. Ze względu na duże braki z języka rosyjskiego powtarzałem klasę IV.

Mimo ciągłego uczucia głodu, latem było nam łatwiej żyć. O tej porze roku choćby sowieci chcieli, to by nas nie zagłodzili. Tajga wspierała nas swoją szczodrością. Duża ilość bujnych czarnych jagód, truskawek i czeremchy to były owoce dostarczające witamin. Zupy gotowaliśmy z pokrzywy i z lebiody, a dla poprawienia smaku dodawało się trochę kory wierzbowej i szczypior dzikiej cebuli i czosnku. Grzybów nie było, nie rosły tam żadne. Okolice, w której mieszkaliśmy, znajdowała się na obrzeżu tajgi, z niej pozyskiwaliśmy drewno na opał, ale było to także miejsce naszej pracy. Ogromne kłody drzew wyciągano za pomocą spycharki gąsienicowej nazywanej przez nas stalińcem.

Wielokrotnie na obrzeżu lasu obserwowałem burunduka, piękne zwierzątko, nieco mniejsze od naszej wiewiórki. Byłem zafascynowany jego sprytem i urodą – na żółtawym futerku w części grzbietowej przebiegały od głowy do puszystego ogonka ciemno brązowe paski. Łapkami z czepnymi pazurkami na drzewie operował bardzo sprawnie. Podobnie jak chomik w torbach policzkowych przenosił zebrane orzeszki cedrowe. Piękno syberyjskiej przyrody jest unikalne. W żadnym ogródku, u największej miłośniczki roślin, nie było tak różnych i pięknych kwiatów, tak bujnych ślicznych piwonii jak na pachnącej syberyjskiej łące. Gdy nadchodziła wiosna, ukazywały się naszym oczom, w tych surowych warunkach, jakich przyszło nam się zmagać z losem, rajskie wręcz krajobrazy. Tubylcy pokazali nam miejsce, gdzie rosły rośliny podobne do nasturcji. Złapaną muchę kładliśmy na jej płatki i kwiat od razu się zamykał pochłaniając owada. Lasy były piękne i malownicze, wiekowe modrzewie, sosny i jodły poprzetykane były wszędobyłskimi brzoźami, których biała kora urozmaicała zielone połacie iglaków. Ale tajga bardzo często paliła się. Pioruny nie uderzały w modrzewie, chociaż były wysokie, ale z reguły w sosny. Bywało, że piorun tylko bruzdę „wyszczypał”, osmalił drzewo, a inne drzewo rozbił na drobne drzazgi. Najczęściej jednak wywoływał pożar. Płonąca tajga nie wywoływała trwogi u miejscowej ludności. Było to zjawisko powszechne, powtarzające się wiosną prawie każdego roku. Ani ludzie, ani kolchozowe zwierzęta nie przejawiały strachu. Przez tydzień mocny, gryzący dym wywoływał łzawienie oczu, uporczywy kaszel. Bolała nas głowa i oczy. Pożar gasił najczęściej ulewny deszcz. Pamiętam, że wiosną były to solidne kilkudniowe ulewy. Nie pamiętam natomiast, aby paliła się zeszłoroczna trawa na łące, myślę, że była to zbyt gruba warstwa. Na bardzo urodzajnej ziemi –

czarnoziem sięga ponad pół metra w głąb, przy dostatku wilgoci i ciepła trawa dosięgała pasa dorosłego człowieka. Nie wszędzie była koszona, więc zalegała grubą warstwą sprasowana zimowym śniegiem. Mimo, że pożary tajgi dla kołchozów nie były niebezpieczne okazywały się katastrofalne w skutkach dla zamieszkującej ją zwierzyny. Nie mając gdzie uciekać ginęła w płomieniach.

Zima z 1949 r. na 1950 r. była wyjątkowo ciężka i trudna. Przymieraliśmy głodem. Było z nami naprawdę bardzo źle, w dodatku przyplątała się dyzenteria (czerwonka bakteryjna). Biegunka i odwodnienie organizmu spowodowały, że nie mieliśmy siły stać na własnych nogach. Przemieszczaliśmy się trzymając sprzętów i opierając o ściany. Z całego naszego pobytu na Syberii ten okres był najcięższy. Byliśmy pogodzeni ze swoim losem i każdego dnia modliśmy się o przetrwanie wierząc, że wkrótce nadejdą lepsze dni. Musiało z nami być naprawdę źle, bo nadzorujący Rosjanin w stopniu kapitana, widząc, w jakim jesteśmy stanie, nie zmuszał nikogo z nas do pracy. Zbliżała się wiosna, zaczęliśmy dostawać nieco większe kawałki chleba, a z czasem i choroba zaczęła powoli ustępować. Mężczyźni poszli do pracy, dzieci do szkoły, kobiety zostały jeszcze w domu. Zaczęliśmy wierzyć, że najgorsze już za nami. I oto pewnego dnia dwaj NKWD-ziści przyprowadzili ojca i stryja do domu, wydali rozkaz *sabierajsa* i wywieźli w nieznanym dla nas kierunku. Dlaczego, za co, dokąd – ani słowa. Na pytania naszych bliskich, gdzie są, otrzymywaliśmy odpowiedź w postaci pytania: „chcecie tam pojechać”? Rodzinna rozpacz bez granic. Wszyscy mężczyźni z naszej rodziny zostali zabrani, pozostały tylko kobiety z dziećmi. Nie potrafię oddać tych uczuć, które nam wtedy towarzyszyły. Ale nie poddawaliśmy się. Pewnego dnia otrzymaliśmy list, okazało się, że nasi najbliżsi są w Bajandaju i pracują przy budowie rejonowego komitetu partii. Nieobecność ojca nie trwała długo, pojawił się po trzech miesiącach i pamiętam doskonale, przywiózł ze sobą bochenek chleba. Tej radości na widok żywego i zdrowego ojca oraz chleba nie da się opisać. Ten, kto nie zaznał prawdziwego głodu, poniewierania, zastraszania bez końca nie jest w stanie tego zrozumieć. Rozkoszowaliśmy się widokiem obecnego przy nas ojca, no i ten chleb.. Żuliśmy go długo aż stawał się słodki. Braliśmy go po małym kawałeczku mając świadomość że nie zaspokoimy głodu, że nie najemy się nim do syta. Do dzisiaj pamiętam tamte chwile. Nasza rozłąka z ojcem nie trwała długo z perspektywy obecnie upływającego czasu, ale wtedy, gdy ojciec i stryj nie dawali znaku życia, a my żyliśmy w nędzy i niepokoju, nasza sytuacja była nie do pozazdroszczenia, a te trzy miesiące wydawały się wiecznością.

Praca ojca w Bajandaju zaowocowała stopniową poprawą naszego bytu, gdyż zyskał on zgodę swoich przełożonych na moją naukę w bajandajskiej szkole średniej. W krótkim czasie również moje rodzeństwo z matką otrzymało pozwolenie na opuszczenie kołchozu i połączenie z rodziną. Mimo niepewności, co mnie czeka, z ogromną ulgą i radością opuszczałem Stary Chogot.

5. Bajandaj

Zamieszkałem wraz z ojcem i innymi robotnikami w baraku składającym się z ciągu drewnianych prycz i ogromnej beczki, która pełniła funkcję pieca. Spaliśmy we dwóch na jednym sienniku, bo brakowało miejsca. Były to trzy słomą napchane worki. Do moich obowiązków poza nauką należało utrzymanie żaru w palenisku pieca. W nocy, aby było ciepło, w dzień, aby po powrocie z pracy robotników była gorąca woda, z której przygotowywano posiłki. Zimą,

przy silnych mrozach – najniższa temperatura, jaką pamiętam to -56°C , należało tak podkładać drzewo, aby piec był czerwony. Paląc w piecu i pilnując ognia odrabiałem szkolne zadania domowe przy przymkniętych drzwiczkach. To było moje nocne światło do nauki.



Uczniowie średniej szkoły w Bajandaju (strzałka wskazuje autora)

W krótkim czasie po przybyciu do Bajandaju, dały znać o sobie skutki letniego niedożywienia. U wszystkich mężczyzn w naszej rodzinie wystąpiły oznaki kurzej ślepoty. Gdy tylko słońce zaszło, przed oczami widać było tylko biel niczym mleko. Nie widziało się ciemności, czerni, tylko jasną ścianę. Wizyta, rozmowa i badanie wzroku u felczera zaowocowały rozpoznaniem – symulant i tak skończyło się moje leczenie. Przypadłość ta trwała długo, ale jak długo nie pamiętam. Przypadkowo czytając książkę o podróżniku znad Bajkału, natrafiłem na fragment, w którym opisywał swoje przygody i zmagania z kurzą ślepotą. Jemu pomógł rybi żyr, czyli tran. Zaoszczędziłem trochę rubli i w aptece kupiłem buteleczkę tranu. Jej zawartość była okropna, śmierdziała, była gęsta i bardzo niesmaczna. Po tygodniu zażywania odczułem wyraźną poprawę i mówię do ojca, tata ty się śmiałeś z tego mojego pomysłu, ale ja widzę. Przez następne kilka dni jeszcze piłem to paskudztwo, a resztę zawartości butelki wypił ojciec i jak się przekonał, że tran pomaga, zaopatrzył się w kolejne buteleczki. Ale na ich zakup musieliśmy zapracować. Teraz to się nazywa chałturzeniem, ale my byliśmy majstrami tzw. złote rączki. Za drobne naprawy w domach i obejściach Buriatów dostawialiśmy kolacje, coś do jedzenia np. masło, twaróg lub jakieś ruble. Kołchoźnicy na swoje potrzeby posiadali zazwyczaj krowę a ci biedniejsi kozę. Mleko i jego przetwory stanowiły podstawę ich żywienia. Za pracę na budowie tata otrzymywał pensję ledwo starczającą na chleb.

Warunkiem mojego pobytu w Bajandaju było uzyskanie pozytywnych ocen w nauce to znaczy dobrych. Szkołę średnią rozpocząłem od klasy V, od kolegów byłem nieco starszy i początkowo miałem trudności w biegłym posłu-

giwaniu się językiem rosyjskim, bo czteroklasowa szkoła w Starym Chogocie ukończona dzięki życzliwości wychowawcy, który żądał ode mnie na lekcjach języka narodowego (buriackiego) tylko czytania na głos rosyjskiej gazety czy książki, nie gwarantowała dobrego przygotowania do dalszej nauki.



Świadectwo ukończenia szkoły

Po pierwszych, bardzo trudnych dla mnie miesiącach, kolejne należały do bardzo przyjemnych. Opanowałem w stopniu dostatecznym język rosyjski, otrzymywałem oceny dobre na równi z Buriatami. Nadrobiłem zaległości, uzyskiwałem oceny zgodne z ambicjami mojego ojca. Po ukończeniu VII klasy

obowiązkowego kształcenia zamierzałem uczyć się dalej w Irkucku w technikum z internatem. Żeby nie zdawać egzaminów warunkiem koniecznym było ukończenie szkoły z listem pochwalnym, czyli z samymi piątkami. I oto jest lekcja konstytucji, czas wystawiania rocznej oceny i podsumowanie tematu dotyczącego zwycięstwa Armii Czerwonej nad hitlerowskimi Niemcami i osądzenia winnych w procesie norymberskim.



List pochwalny za ukończenie szkoły

Co mi przyszło do głowy, co ja chciałem osiągnąć i powiedzieć tego nie potrafię do dzisiaj wyjaśnić. Ale zapytałem nauczycielkę, młodą Buriatkę: „no tak zwyciężonych już osądzili to już wiemy, a zwycięzców kiedy będziemy sądzić”? Wywiązała się króciutka dyskusja, nie dało mi się swoich słów wytłumaczyć. Uczniowie dowiedzieli się, że jestem krwiopijcą z klasy wyzyskiwaczy biednych, ciemieżcą ludu itp., a że do tej pory uczyłem się dobrze, to mi postawi trójkę, bo na więcej nie zasługuję. I tak legły w gruzach moje marzenia o technikum w Irkucku. Ale miałem cudowną wychowawczynię, przez cały czas mojej nauki czułem jej opiekę. Po tym incydencie poszła do dyrektora, wstawić się za mną. Mogę się tylko domyślać, jakich użyła argumentów, bo po spotkaniu z dyrektorem poinformowała mnie o egzaminie poprawkowym i dodała, że ma nadzieję, że jej nie zawiodę. Po trzech dniach komisja w składzie dyrektor, nieznaną mi nauczycielka i wychowawczyni przystąpili do egzaminu. Pytania zadawał dyrektor. Konstytucję ZSRR miałem wyuczoną prawie na pamięć, bez trudu odpowiadałem poprawnie na zadawane pytania. Poprawkę zdałem na piątkę. Na zakończenie szkoły otrzymałem świadectwo z pochwałą. Na liście pochwalnym znajdowały się zdjęcia Lenina i Stalina.

Bardzo szczęśliwy poszedłem do komendanta NKWD, Rosjanina bardzo przyjaźnie nastawionego do naszej rodziny, pokazałem swoje świadectwo i proszę o pozwolenie na wyjazd do Irkucka, do technikum w celu dalszej edukacji. W paru słowach pochwalił mnie za wyniki w nauce, a potem usłyszałem najpierw westchnienie, a po przerwie słowa, które przekreśliły całe moje starania *Nam wragów naroda wyższe uczyć niełzia*. Do tej chwili słyszę to zdanie. Wyjaśnił, że wyrażenie zgody na moją dalszą naukę po słowach wypowiedzianych przeze mnie w szkole nie leży w jego kompetencjach i raczej nie ma dla mnie żadnych okoliczności łagodzących. Uznał jednak, że jestem zdolny i szkoda mnie do fizycznej roboty, a ponieważ do biura mnie nie przyjmą, zaproponował kurs mechanizatorów w MTS (Maszynowo-Traktorowa Stacja) po ukończeniu którego zdobędę zawód traktorzysty, kombajnisty i specjalisty od mechanizacji. I cóż mogłem zrobić? Tak zakończyły się moje marzenia i dalsza edukacja. Zostałem przyjęty i po pół roku nauki jako wykwalifikowany pracownik przystąpiłem do pracy zawodowej

Jesienią 1951 roku udało się ojcu sprowadzić ze Starego Chogotu pozostałych członków rodziny. Zamieszkaliśmy w wynajętych przez przedsiębiorstwo budowlane „*Sielstroj*” mieszkaniach, każda rodzina osobno. Odkąd pamiętam, na czele rodziny zawsze stała babcia, była takim hersztem i to z jej zdaniem musieli się liczyć dorośli synowie. Krótco po przyjeździe do Bajandaju, babcia która zamieszkała ze stryjem Władysławem zaczęła uskarżać się na różne dolegliwości. Pomocy medycznej nie było, piła jakieś ziółka otrzymane od sąsiadów, robiła mikstury i okłady. Niestety, stan jej zdrowia wciąż się pogarszał i pewnego mroźnego, zimowego dnia cichutko od nas odeszła. Spoczywa w wiecznej zmarzlinie w okolicach Bajandaju. Nie potrafię zlokalizować miejsca pochówku, gdyż nie był to cmentarz, ale piękny pagórek z kilkoma modrzewiami, na nim drewniany parkanik i krzyż. Swoje cmentarze mieli tylko Rosjanie, a Buriaci palili zwłoki. Kierownik budowy dał nam deski na trumnę i wolny dzień chętnym pracownikom do udziału w pogrzebie. Wcześniej przez dwa dni paliliśmy odpady z budowy, aby odmrozić ziemię i dłubiąc po kilkanaście centymetrów zagłębialiśmy się w zmarzlinę. Z desek zbiliśmy trumnę i w milczeniu, bez ceremonii pogrzebowych, pożegnaliśmy seniorkę rodu, która nie wytrzymała trudów niedoli. Zmarła w wieku 61 lat, na kilka lat przed naszym powrotem do Polski.

Życie w Bajandaju w naszej niekompletnej już rodzinie, w znośnych, żeby nie powiedzieć w dobrych, ludzkich warunkach mieszkaniowych toczyło się ustalonym rytmem. Tata pracował na budowie, ja w POM-ie, brat i siostra chodzili do szkoły a mama prowadziła gospodarstwo domowe. Mieliśmy już kozę i trzy kury. Moja praca w zimie, polegała na remontowaniu maszyn, sprzętu rolniczego i przygotowaniu ich do prac polowych. Nie wszystkie maszyny np. kombajny można było wprowadzić do ogrzanego pomieszczenia, dlatego praca na wolnym powietrzu nie należała do przyjemnych. Mrozy dały nam się we znaki, narzędzia, których używaliśmy przymarzały do rękawic. Za pracę otrzymywałem wynagrodzenie wg ogólnego taryfikatora. Pracowaliśmy 8 godzin, przez resztę dnia szukaliśmy dodatkowego odpłatnego zajęcia u mieszkańców. Zapłatą najczęściej była kolacja rzadziej parę rubli. Chodziliśmy w starych walonkach podszytych byle czym i byle jak i jakichś niezbyt ciepłych ubraniach. Ale w porównaniu do poprzednich lat żyło nam się nie najgorzej. Komendantura nie nękała nas ciągłym sprawdzaniem i pilnowaniem. Raz w miesiącu chodziliśmy do biura podpisać listę obecności, bo mogliśmy mieszkać i pra-

cować tylko w Bajandaju. Wolne wieczory spędzaliśmy na polance wokół domostw na wspólnych zabawach. Stanowiliśmy narodowościową mieszankę składająca się z Rosjan, Buriatów, Ukraińców, Litwinów, Polaków i obywateli pochodzących z południa ZSRR. Tolerowaliśmy się wzajemnie, ale bliższych stosunków i zażyłości przyjacielskich nie nawiązywaliśmy między sobą.

Przyjemnie wspominam prace polowe wykonywane w kołchozach odległych o 30-50 km od miejsca zamieszkania. Spaliśmy w specjalnie do tego celu pobudowanych domach, w których mieściła się również kuchnia i stołówka. Tutaj panowała ludzka solidarność, wszyscy sobie wzajemnie pomagali.

Z tamtego okresu pamiętam także bardzo dokładnie jedno zimowe zdarzenie. Pracowałem wtedy jako mechanik maszyn żniwno-omłotowych oraz monter urządzeń mechanizacji gospodarstw rolnych. Nasze przedsiębiorstwo miało pod opieką kołchozy w promieniu około 75 km. Kołchoz im. Kirowa otrzymał przydział automatycznych poidel dla krów oraz kocioł do parowania płodów rolnych i w związku z tym poprosił o montaż tych urządzeń. Oddelegowany został inżynier Siergiejew i po otrzymaniu zgody od komendanta na pracę poza Bajandajem zabrał mnie ze sobą w charakterze monterka. W podróż do kołchozu odległego o około 50 km wyruszyliśmy saniami zaprzęgniętymi w konie, bo głęboki śnieg wykluczał inny transport. Jak na zimę ubrany byłem skromnie, ale włożyłem walizę z narzędziami, owinąłem się w koc i zagrzebałem w słomę. Był piękny, słoneczny, ale mroźny dzień, temperatura powietrza na dworze koło -25°C . Konie bez specjalnego poganiania ciągnęły sanie spokojnie, jednym tempem. Jak daleko sięgało oko ludzkie otaczała nas tylko biała, błyszcząca przestrzeń, gdzieś tam majaczyło jakieś drzewo. Początkowo nasza rozmowa toczyła się wokół tematów zawodowych, później fenomenalnych zdolności tubylców, którzy bez żadnych problemów odnajdują właściwe drogi do celu mimo braku wytyczonych dróg i oznaczeń. Znużony rozmową i jednorodnością krajobrazu, naciągnąłem koc na głowę i ogarnął mnie sen i taki fantastyczny błogostan, że pomyślałem – ale mi dobrze, a tak się bałem, że zmarznę. I nagle, ojej, czuję, że spadam z sań i jestem na śniegu i... to niestety nie jest sen. No teraz to już jest koniec, pomyślałem, ale momentalnie otrzeźwiałem, spać mi się odechciało, spojrzałem w kierunku sań, a one jada dalej, woźnica jeszcze batem pokręcił i konie pogonił. Nie wiem jak daleko odjechał, może 200 m, może dalej, ale paraliżujący lęk i świadomość nieuchronnej śmierci w tej śnieżnej pustyni lodowej pobudziła mnie do działania. Otrzeptując się ze śniegu zauważyłem, że sanie się zatrzymały. Zaczynam brnąć w śniegu po śladach zostawionych przez sanie ciągnąc za sobą koc. Mam wrażenie, że zauważono moją nieobecność, bo wyraźnie widzę, że woźnica na mnie czeka. Przeszedłem dosyć duży kawałek, zabrakło mi jakieś 50 m, a tu nagle konie ruszyły i sanie, do których miałem tak blisko, pojechały dalej. A ja, nadal zdrętwiały, zeszywniały, bez sił, staję i przeraża mnie myśl, że tu zmarznę. Za jakieś 150 m sanie zatrzymały się, wydaje mi, że na mnie czekają. Z wielką nadzieją, choć nogi były sztywne od mrozu poszedłem do przodu. Wkrótce zacząłem odczuwać ciepło, ale sytuacja z uciekającymi saniami powtórzyła się. Mimo to wlokę się za saniami, próbuję wołać – bez skutku. Przeszedłem w ten sposób chyba ponad kilometr i kiedy mocno rozgrzany i zdyszany dopadłem do sań, inżynier – woźnica otrzepał koc ze śniegu, otulił mnie i powiada: „Ty Stanisław, ty się na mnie nie gniewaj, ale już zamarzałeś,

a ja podpisałem, że biorę cię na swoją odpowiedzialność. Żywego cię brałem i żywego muszę przywieźć. Nie mogłem pozwolić abyś umarł, bo też bym zginął gdzieś w obozie na północy”. Okazało się, że to on wyrzucił mnie z sań. Były one tak skonstruowane, że w tylnej części nie miały żadnego oparcia i wystarczył jeden dobry kopniak, aby pasażera się pozbyć. Jakby nie mówić, zawdzięczam jemu życie.

Po sześciu latach i dziewięciu miesiącach pobytu na Syberii zapomnieliśmy zupełnie jak smakowało nasze jedzenie z rodzinnego domu, wszystko, co wcześniej dla nas było wstrętne i trudne do przełknięcia smakowało wyśmienicie. Do dziś pamiętam smaki arsy, tarasunu, sałamaty, kiszzonego, śmierzącego omuła i bardo słonej garbuszki. Garbuszka była rybą, tak określano prawdopodobnie łososia tuż po tarle. Tak jak przywykliśmy do buriacko-syberyjskiego pożywienia tak również pogodzeni ze swoim losem powoli urządzaliśmy sobie swoje miejsce do życia w tych mało sprzyjających warunkach. Tubylcy powtarzali nam, przywykniecie tak jak my przywykliśmy. Faktycznie, powoli życie stawało się znośniejsze, starczało na chleb i dodatki do chleba. Na żadne niespodzianki od losu już nie liczyliśmy i oto w pewien majowy dzień 1955 r. w południe, w czasie przerwy obiadowej odwiedziło nas kilku nieznanymi mężczyzn; nadzorujący Ubek, trzech żołnierzy i dwóch cywili. Nadzorujący nas strażnik oświadczył tylko, że mamy gości, żołnierze ustawili się przy wejściu a cywile przeszli dalej w głąb chaty i nagle po polsku padło pytanie, czy jesteśmy Polakami. Ojciec udzielił twierdzącej odpowiedzi. Po tylu latach usłyszeliśmy polską mowę, było to niesamowite wrażenie. Nie wiedziałem, czy mam skakać z radości czy też zachować spokój, jakby to nie było takie ważne. Na kolejne pytanie, czy chcielibyśmy wrócić do Polski, ojciec zaczął dyplomatycznie odpowiadać, że nam tutaj jest dobrze, po co szukać nowego domu? Takie sytuacje i osoby inwigilujące środowisko kołchoźników były na porządku dziennym, szczególnie tuż po zakończeniu wojny. W domu jeszcze przed wywózką w dzień i w nocy przychodzili uzbrojeni mundurowi, żądali jedzenia i zawsze pytali jak się żyje w nowej rzeczywistości. Trafna odpowiedź decydowała, zginiesz czy przeżyjesz. Na te uniki ze strony ojca jeden z przybyłych odwrócił się do kolegi i rozkazał „wyprowadzić”. Wszyscy opuścili mieszkanie, a on pozostał z tatą. Jak przebiegała rozmowa trudno mi dzisiaj powiedzieć, bo tata o niej nie opowiadał, ale wiem że gość przekonał ojca, który wyciągnął z siennika i pokazał ostatni egzemplarz kopii naszej karty emigracyjnej, uzyskanej jeszcze w 1946 r. I właśnie ta 3 kopia była dla nas zbawienna.

A miała ona również swoją długą historię. Karta ewakuacyjna wydana przez Ambasadę Polską na Litwie posiadała trzy kopie, o tej trzeciej bolszewicy nie wiedzieli. Kiedy rodzice w wyznaczonym terminie nie opuścili Żegowicz, przy jednej z kontroli sprawdzającej bieżące rozliczenia się z państwem z nałożonych obowiązkowych podatków, zażądano okazania tej karty. Gdy bolszewicy dowiedzieli się, że polskie dokumenty mają jedną, czasami dwie kopie zażądali oddania wszystkich kopii. Ojciec z ogromnym oporem oddał pierwszą z kopii. Po roku zjawiała się ekipa z uzbrojoną obstawą, najpierw jak gdyby nic sprawdzili kwity z zobowiązań wobec państwa a na zakończenie oświadczyli, iż im wiadomym jest, że ojciec ma jeszcze jedną kopię karty ewakuacyjnej. Tata stanowczo zaprzeczył, więc został aresztowany i przez dwa tygodnie siedział związany w więzieniu. Dopiero jak przyrzekł, że odda żądane pismo to go wypuścili. Pamiętam, że gdy wrócił do domu, to miał taki zarost, że trudno go

było rozpoznać. Ojciec słowa dotrzymał, oddał drugą, oczywiście jakościowo gorszą kopię, a ostatnią zostawił i przechowywał przez cały okres syberyjskiej tułaczki. Ten ocalały dokument potwierdził naszą polską narodowość i stał się listem żelaznym zezwalającym na opuszczenie Syberii. Po rozmowie z ojcem, przybyły Polak oznajmił po rosyjsku pozostałym, że od dzisiaj jesteśmy jego ludźmi i zabiorą nas do Polski. Ale kiedy i jak, nic nie wiedzieliśmy. Od maja żyliśmy w niepewności i zawieszeniu, ale jednocześnie nadzieją, która nie opuszczała nas, że coś może się zmienić. Rodzice dobrze wiedzieli, na jakie „niespodzianki” stać było bolszewików i czasami powątpiewali w złożoną obietnicę. W listopadzie od mieszkańców Bajandaju dowiedzieliśmy się, że przygotowwany jest transport do Polski. Rzeczywiście wkrótce poinformowano nas, aby w ciągu trzech najbliższych dni przygotować się do wyjazdu. Wiadomość tą przyjęliśmy z ogromną radością, a jednocześnie i trwogą, przecież w ZSRR nie można było nikomu wierzyć. Słyszało się wiele opowieści o zniknięciach ludzi, ślad po nich ginął. Radość i trwoga, nadzieja i wiara, te uczucia miotaly i dziećmi i dorosłymi. Życzliwi a i znający się na prawie ludzie radzili kupić od mieszkańców obligacje państwowej pożyczki. Jak się później okazało była to dobra rada. W Przemysłu nasze obligacje i zaoszczędzone ruble wymieniono na bony Polskiej Kasy Opieki SA, za które później nabyliśmy potrzebne towary np. radio, maszynę do szycia.

5. Droga powrotna

Mimo naszych obaw, zapowiadany wyjazd doszedł do skutku. W połowie listopada 1955 r. samochodem ciężarowym wszyscy Jagiełłowicze po pożegnaniu z mieszkańcami, odjechali do Irkucka. Przywieźli nas na stację kolejową, pamiętam, że zanim podstawili wagony, z torów pozbieraliśmy rozsypany węgiel, rozpaliliśmy ognisko i grzaliśmy się przy jego ciepłe. Podróż powrotna odbywała się w wagonie osobowym, w przedziale jechała cała nasza rodzina czyli pięć osób, a stryjowie w innych przedziałach. Skład pociągu był bardzo długi, za osobowymi wagonami były wagony towarowe z bagażami powracających Polaków. Przez pierwsze 3 dni, kiedy to jechaliśmy praktycznie w nieznaną, prawdopodobnie do Polski, nikt nie wychodził z pociągu. Kontrolujący nas mówili po rosyjsku, ciągle coś sprawdzali w dokumentach i dokonywali rewizji, szukali niby kartofli i cebuli, bo tych produktów nie wolno nam było ze sobą zabrać. Wróciła niepewność sprzed siedmiu lat, kiedy to jechaliśmy w odwrotną stronę. I oto czwartego dnia, chyba w okolicach Krasnojarska słyszymy po polsku – „Jestem kierownikiem pociągu, ze wszystkim problemami i sprawami proszę zwracać się do mnie. Rosjan już nie będzie”. Na pierwszym postoju pociągu, odbyło się wyczytywanie nazwisk z listy po polsku. Jak to dziwnie i pięknie brzmiało. Teraz już byliśmy pewni, że zdarzył się cud i jedziemy do Polski. Zarządzono dwu godzinną przerwę, zebraliśmy się kilku osobowe grupki i poszliśmy coś kupić. Byliśmy bardzo głodni, niestety do jedzenia niewiele było produktów, ale alkoholu była obfitość. A my tak bardzo cieszyliśmy się, i chcieliśmy to specjalnie uczcić jedząc do woli. Śmieliśmy się później sami z siebie, bo okazało się, że uczciliśmy to alkoholem, a nie chlebem.

Podróż trwała chyba 22 doby, aż dojechaliśmy do Przemysłu. To co mieliśmy zostało załadowane na samochód i przyjechaliśmy do Giżycka. Pierwsze,

co nas czekało, to dezynfekcja azotoksem ubrań i odwiedziny u fryzjera. Teraz to aż wstyd powiedzieć, ale włosy same chodziły po podłodze, tak bardzo byliśmy zawszeni. Po kąpeli przyszedł czas na jedzenie. Zaprowadzono nas na obiad do stołówki. Widoku tego, mimo upływu czasu nie zapomniałem. Na stole stał duży, wręcz ogromny aluminiowy talerz, na nim był olbrzymi kawał kiełbasy, ziemniaki i zasmażana kapusta. Widok nieznanym naszym oczom od wielu lat. Można sobie wyobrazić konsekwencje tego posiłku. Przez cały tydzień byliśmy pod opieką sanitariusza. Na początek były leki na przeczyszczenie, później głodówka i stopniowe karmienie kleikami, zupkami, aż do normalnego posiłku. Po ustąpieniu problemów gastrycznych nastąpił kolejny etap naszej wędrówki, bo miejsce naszego osiedlenia znajdowało się w okolicach Miastka. Dnia 22 grudnia 1955 r. skończyła się nasza tułaczka, i zamieszkaliśmy w Świerzenu. Od kilkudziesięciu lat mieszkam w Elblągu, jestem szczęśliwym i spełnionym mężem, ojcem oraz dziadkiem.